OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 4 (16) Października 1867 roku.

Nr 42. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

KOŚCIÓŁ W LĘDZIE.

Lęd jest to wieś leżąca nad brzegiem rzeki Warty, o półtory mili od m. Słupcy, w powiecie Konińskim. Niktby o tym zakątku nie wiedział, gdyby nie wspaniała i starożytna świątynia, należąca niegdyś do Cystersów, której dwie wieżyce i kopuła, zdala już przyjeżdżającym się okazują.

Kościół w Lędzie należy do najstarożytniejszych w kraju. Jeszcze w r. 1145, Mieczysław Stary, sprowadził tu Cysterów i niewielki im kościół wystawił. Podług miejscowej tradycji, która zresztą zdaje się zasługiwać na wiarę, dla tego obrał Lęd a nie inną stosowniejszą miejscowość, iż mieszkańcy tej wsi, gdy w młodości do niej przybył, świetnie go przyjęli.

Klasztor Cystersów lędzkich, od r. 1539 miewał zwykle po dwóch opatów, z których jeden był zwykle jakimkolwiem biskupem i pobierał dwie trzecie dochodów opactwa; drugiego sami zakonnicy obierali.

Gdy szczupły kościołek począł grozić ruiną, w przeszłym wieku wzięto się do jego przerobienia, a właściwie mówiąc zupełnego przestawienia, tak, że tylko niektóre jego części a mianowicie krużganki klasztorne, odnieść należy do XIII wieku. Podług znawców, krużganki te należą do bardzo cennych zabytków budownictwa krajowego. Oprócz krużganków jest tu także bardzo starożytna kaplica, w której przechowały się ciekawe malowidła z XIV i późniejszych wieków; szkoda tylko, że czas i nieumiejętna ręka bardzo je uszkodziły.

Kościół teraźniejszy taki jakim go dziś widzimy, wzniesiony został staraniem opata Mikołaja Łukomskiego r. 1743. Zbudowany w kształcie krzyża, zarówno przez boczne okna jak i przez kopułę, jest oświecony. Co w nim nadewszystko uderza, to ta okoliczność, iż dwie wieże zamiast stać przy ścianie wchodowej, jak to zwykle ma miejsce, stoją w części przeciwległej—więc przy ścianie, gdzie się ołtarz wielki znajduje. Kościół wystawiony z cegły i tylko u góry otynkowany. Pod całym gmachem rozciągają się sklepy, mieszczące ciała zakonników. Przed kilkunastu laty wyrestaurowany i odnowiony, otwarty został w Maju 1852 r. Wspaniałe wnętrze tej świątyni składa się z dwóch części: część pierwsza czyli wchodowa, jestto rotunda sklepiona z piaskowca, zakończona dość wysoką ośmiościenną latarnią, do koła której obiega piękna galerja; druga część kościoła stanowi nawę główną i dwie poboczne i tu znajduje się sklepiona rotunda, ale znacznie niższa od poprzedzającej. Pilastry zdobiące prezbiterjum, mają kapitele korynckie, a cały kościół malowany jest *al-fresco*, to jest na świeżym wapnie. W pierwszej rotundzie jest czterech doktoków kościoła, w drugiej posągi Świętych pańskich; całe zaś sklepienie okrywają malowidła, mniej więcej dobrego pędzla, przedstawiające po większej części cuda i pobożne dzieła OO. Cystersów: malował je braciszek zakonu franciszkańskiego Antoni Swach.

W ołtarzu wielkim jest obraz Najświętszej Panny Anielskiej, malowany przez hrabiego Stanisława Kossakowskiego w r. 1852; w ołtarzu koło ambony również obraz N. Marji Panny pędzla Sachowicza; w trzech zaś bocznych ołtarzach, mieszczą się obrazy Świętej Barbary, Św. Franciszka i Św: Antoniego, wykonane przez artystę malarza Ziemięckiego, oraz obraz Św. Feliksa, pędzla Sikorskiego.

Chór, konfessjonały, ambona i ławki, tak wykwintnie są zrobione i tak piękną mają rzeźbę, że każdą katedrę przyozdobićby mogły. Ołtarze postawione w pierwszéj połowie zeszłego wieku są zrobione z gipsu, a niektóre wykładane w mozajkę. Oprócz pomienionych ołtarzy, jest tu ich jeszcze ośm bardzo czysto i przyzwoicie utrzymywanych. W skarbcu tutejszym jest ślicznie wykonana monstrancja srebrna.

W ogóle świątynia tutejsza należy do najpiękniejszych, tak pod względem budowy jak i utrzymania.

Mścisław Kamiński.

ZIMNA ZIEMIA.

Będzie temu lat... nie pomnę... wiele...
Byłem dzieckiem... miałem jeszcze matkę,
W duszy mojej gościło wesele,
Napełniałem śmiechem naszą chatkę.

Matka moja... Boże!... gdzież dziś ona?...
Ona moją lubiła pustotę,
I tuliła mnie do swego łona
I gładziła moje włosy złote...
Szczęście wtedy w oczach jej pałało
I spływało z jej spojrzenia w moje...
A!... do szczęścia tak potrzeba mało,
Tak szczęśliwi byliśmy oboje!...

Raz wybiegłem w rówienników kole
I zaszedłem daleko od chaty,
Na zasiane złotem zbożem pole
I na łąkę strojną w polne kwiaty.
Gwarni byli moi towarzysze:
Co tam było krzyku, co tam wrzawy!
Dotąd jeszcze tę ich radość słyszę....
Alem wrócił smutny z tej wyprawy;
Czułem jakiś ból niezwykły czoła
I ze łzami pobiegłem do matki:
„Co to mamo?" „Nic mój synu... pszczoła
Wzięła włosy twe za polne kwiatki
I miód słodki wyssać z nich zechciała,
I krwi ciepłej się napiła z ciała...
Ból z ukłucia długo trwać nie może,
Czekaj, ziemi zimnej ci przyłożę."
Przyłożyła—i ból wyszedł z ciemia,
Uleczyła ranę zimna ziemia.

Lata biegły szybko za latami,
Pociemniało włosów moich złoto,
Namaszczony ostatniemi łzami
Matki mojej... zostałem sierotą.
Długo, długo, błądziłem po świecie
Jako młodzian już nie jako dziecię,
Aż uczułem, że mi pierś rozrywa
Jakaś boleść nowa i straszliwa...
Więc skrwawione serce moje woła:
„Matko! matko! czemuś ty w anioła
Przemieniona?... czemuś ty już w Niebie?.....
Ja lekarstwo dostałbym od ciebie,
Tybyś rzekła mi: to miłość—pszczoła
Wzięła serce twe za polny kwiatek,
Aby wyssać z niego krwi ostatek;
Ból z ukłucia jej wtedy ustanie,
Gdy ci w darni wykopią posłanie,
Gdy tam złożą twe zbolałe ciało
I gdy każdy, ilu ci sprzyjało,
Zimnej ziemi ciśnie garstkę małą."
O! bo wszelki, wszelki ból człowieczy
Garść przyjazna zimnej ziemi leczy.

Wołody Skiba.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.—Patrz Nr. 41).

Nazajutrz przypadała niedziela; Mrożek, którego po długiej bezsenności nad ranem sen mocniejszy zmorzył, obudził się dość późno. Gdy wstał zobaczył przez okno, że ludzie gromadzą się już w kościele na nabożeństwo.

— O! do licha, zaspałem — myślał ubierając się prędko,— powinienem był być pierwszy w kościele... no, mniejsza o to... łatwo mi będzie złożyć to przed księdzem na znużenie po podróży... tylko na przyszłość trzeba się pilnować...

Wkrótce i on już wchodził do kościoła. W tym samym czasie wchodził także do domu Bożego Antek wystrojony od święta, ale obaj nie zwrócili na siebie uwagi; Antek upatrywał dziewczęcia z modremi oczyma, a Mrożek obmyślał czem się tu odznaczyć w kosciele tak, żeby ludzie jego pobożność widzieli.

Wszedłszy do kościoła Mrożek nie poszedł do ławki gdzie mu jego stanowisko nauczyciela miejsce obrać pozwalało, lecz środkiem zbliżył się aż przed prezbyterjum i ukląkł...

— Twardo będzie — pomyślał, ale to trudna... tylko że wszyscy klęczą... tego jeszcze zamało..... nikt nie zwróci na mnie uwagi...

Schylił się i z głębokiemi, głośnemi westchnieniami, zaczął całować ziemię. Dopełniając tego aktu chrześcijańskiej pokory myślał:

— I to każdy góral potrafi!... Ah!... wybornie!... będę leżał krzyżem... będzie i wygodniej i efektowniej.

Tak myśląc wyciągnął się jak długi na podłodze, szeroko rozłożywszy ręce.

Ta pokutnicza postawa zrobiła na obecnych w kościele ludziach natury i prawdy, przewidywane przez Mrożka wrażenie. Rozeszła się już po wsi wiadomość, że nowy nauczyciel przyjechał, wszyscy więc ciekawie spojrzeli na niego gdy wszedł do kościoła, a gdy się położył krzyżem, niejeden przerwał sobie modlitwę, aby powiedzieć półgłosem:

— Pobożny człowiek!... święty człowiek!...

I niejedno Zdrowaś Marjo, nie jedna tajemnica Różańca lub Szkaplerza ofiarowaną została na intencją człowieka, który profanował zewnętrzne oznaki nabożeństwa używając ich jako środka do zyskania sobie opinji, na jaką nie zasłużył ani szczerze zasłużyć nie myślał.

Po summie ksiądz proboszcz rozpoczął naukę. Mrożek nie zmienił swej postawy.

Mając ten przykład pobożności przed oczyma i wierząc najzupełniej we wszystko co mu Mrożek opowiedział, proboszcz Skalicki w mowie swojej naturalnie skorzystał z tego przykładu. Wzruszonym głosem mówił o modlitwie i pracy jako jedynem lekarstwie przeciw pokusom, i o korzystaniu z dobrych przykładów jakie nam się nasuwają przed oczy, a rozpamiętywanie ich i naśladowanie przedstawiał jako bardzo zbawienne dla każej chrześcijańskiej duszy.

— Do mnie pije poczciwy księżyna — myślał Mrożek; — udało mi się...

Naukę swoją zakończył proboszcz ogłoszeniem o jakie prosił go Mrożek.

—Jeden z takich przykładów macie dziś bracia— mówił,—pewien człowiek bogobojny znalazł w górach okolicznych pieniądze... znaczą summę około stu guldenów w papierach... Gdyby nie zważał na głos sumienia, gdyby łaknął cudzego grosza, mógłby był sobie zachować tę summę... Wolał jednakże zastosować się do przykazania, które nam zabrania nawet pożądać tego co jest nie nasze i oto złożył te pieniądze na moje ręce, abym ogłosił z ambony że kto je zgubił odebrać je może.. Nie dla chluby swej to uczynił, bo nie chce żeby jego

nazwisko było wiadomem nawet właścicielowi tej zguby, jeśli się zgłosi. Postąpił jak prawdziwy chrześcijanin, dał przykład godny naśladowania i chwalebny. Życie ludzi tak postępujących brać powinniście za wzór, szukajcie ich więc koło siebie, a gdy po uczynkach ich poznacie, iddźcie drogą krzyża jaką oni obrali, aby sobie ułatwić drogę zbawienia.

— Doskonale — myślał słysząc te słowa Mrożek,—niepodobna było wyraźniej powiedzieć wszystkim, że to o mnie mowa.

Jakoż w istocie wychodząc z kościoła górale podzielili się na gromadki, a w każdej gromadce mówiono tylko o nauczycielu, co leżał krzyżem i o znalezionych stu reńskich.

— Ktoby mógł znaleźć te pieniądze? — pytano.

— A któżby jeśli nie nauczyciel? — odpowiadał ktokolwiek z gruppy.

— Ksiądz proboszcz nawet mówił wyraźnie — dodawał inny; — człowiek co obrał drogę krzyża, a przecież on krzyżem leżał.

Wszyscy zgadzali się na ten domysł.

— To prawda!... to święty człowiek!... — powtarzano do koła.

Mrożek prawie ostatni wyszedł z kościoła. Gromadki nie porozchodziły się jeszcze; górale spostrzegając go, rozstępowali się przed nim z uszanowaniem i zdejmowali kapelusze, on im ukłon oddawał pokornie i powoli szedł ku domowi.

— Niech się o mnie nagadają — myślał, — niech mi się przypatrzą.

W tej samej gruppie, w której była modrooka dziewczyna, znajdował się naturalnie Antek. W kościele patrzył on podobno więcej na nią jak na ołtarz, to też może jeden z całej wsi nic nie wiedział ani o znalezionych pieniądzach, ani o nabożeństwie nauczyciela i dopiero z rozmowy górali dowiadywał się o tem wszystkiem. Ale i tu nawet niebardzo zwracał uwagę na te szczegóły: oko jego było czem innem, a raczej kim innym zajęte. Spojrzał dopiero mimowolnie w stronę kościoła, gdy usłyszał koło siebie słowa.

— Patrzcie, nauczyciel wychodzi...

Spostrzegłszy Mrożka, Antek nie mógł się wstrzymać od zapytań:

— Więc to ten jest tu nauczycielem?

— A ten — odpowiedziano.

— I on od dawna taki święty?...

— A juści pewno... chociaż nikt go tu niezna, bo dopiero wczoraj przyjechał, prosto do księdza proboszcza.

Antek słuchał i dziwił się widząc człowieka, który się dwa dni temu przyznał przed nim do zabójstwa, używającym tutaj opinji świętego. Przypatrując mu się, zdawał się czytać w jego twarzy ten sam wyraz chytrości i obłudy, z jaką napadnięty przezeń w lesie mówił:

— Tysiąc reńskich... ja biedny człowiek... zkądbym ja wziął?...

W tej chwili właśnie Mrożek przechodził koło gruppy górali, w której znajdował się Antek.

Umilkli wszyscy na widok świętoszka, pozdejmowali kapelusze, jeden tylko Antek swego nieruszył. Mrożek nie patrzył na nich niby, a widział przecież te ukłony i oddawał je poważnym krokiem idąc dalej.

— Judasz!—szepnął mimowolnie widząc tę scenę Antek.

Słówko to dobiegło do Mrożka. Drgnął nieznacznie jakby go lekka iskra elektryczna przebiegła i z pod oka spojrzał w tę stronę, z której go dochodziło tak trafnie dobrane przezwisko.

Wzrok jego paść musiało naturalnie na Antka, który sam jeden został w kapeluszu i przez to odróżnił się od innych.

— Zawsze ten chłopak, co mnie napadł — myślał Mrożek, — a przynajmniej co chwila zdaje mi się, że spotykam tego człowieka!... Czy to przywidzenie czy rzeczywistość?... przywidzenie chyba... Nazwał mnie Judaszem... ha! może mi się się zdawało.... Ale jeżeli to on, to trzeba będzie szybko się wziąć do niego i pierwszemu nogę podstawić.

Górale nie zwrócili uwagi na mimowolny wykrzyknik Antka i powoli rozchodzić się zaczęli drogą przez wieś, jedni ku domostwom, inni ku karczmie. Antek nie myślał także więcej im rozpowiadać o nauczycielu, miał on bowiem co innego na głowie.

Cóż to mu tak w głowę zalazło, że już w kościele nie mógł myśli zebrać do nabożeństwa, i ile razy zaczął pozdrowienie anielskie, to ledwie wyrzekł „między niewiastami,” wnet mu i wzrok i słowa między niewiastami ginęły?... Była to para żółtych safjanowych bucików na wysokich korkach, nowiuteńka, mała, prześliczna. Wiele takich par było w kościele boć to świąteczne obuwie podhalanek, ale Antkowi spodobały się tylko jedne, najnowsze, najmniejsze, najśliczniejsze; zdawało mu się, że z dziewczyną w takich bucikach toby chodził przez całe życie po górach i nigdyby się nie zmęczył,—a no jakby się zmęczył, toby sobie usiedli razem na jakim brzegu Morskiego Oka i patrzyliby w jego przezrocze tonie, jak ich wspólna przyszłość czyste, pogodne.

Kiedy buciki wyszły z kościoła, wyszedł i on za niemi, kręcił się koło dziewczyny co je miała na nóżkach i chciał jej patrzeć w oczy, tak jak patrzył dotąd śmiało wszystkim dziewczynom—ale nigdy nie mógł wytrzymać dłużej jej wzroku, zawsze oczy spadały mu na dół i zatrzymywały się na bucikach, jakby tam im dopiero było dobrze i jakby się zakochał w obuwiu a nie w dziewczynie.

Dziewczyna — a była to taż sama, w którą poprzedniego dnia wieczorem tak się zapatrzył Antek, że aż zupełnie stracił Mrożka z oczu, — wystroiła się w tę niedzielę we wszystko co miała najpiękniejszego. Gdyby tak nazajutrz miał przypaść odpust we wsi, toby nie miała już nic strojniejszego jak tej niedzieli, chociaż to była zwyczajna niedziela jaką co siedm dni Pan Bóg daje; strojąc się tak nie powiedziała sobie, jak to zwykle mówią dziewczęta:

— Ot, wystroję się dzisiaj, żebym była ładna.

Nie.... Ubierając się do kościoła myślała się ubrać tak jak każdej niedzieli, tylko że co włożyła na siebie cośkolwiek, to zaraz zaglądała do lusterka i zaraz rzucała i kładła lepsze. W zwyczajnym ubiorze niedzielnym zdawało jej się, że nie dobrze wygląda, więc chciała włożyć coś lepszego i mimowolnie kładła co miała najlepsze. Sama nie wiedziała nawet, że się wystroiła jak na Wielkanoc. Ba!.... i jak miała wiedzieć?... Przecież każdej niedzieli i przed kościołem i po kościele, patrzyła na inne dziewczęta i przyglądała się ich szatom, i gdyby ją kto spytał, toby mogła odpowiedzieć od której piękniej była ubraną, a która piękniej się ubrała od niej, a tej niedzieli nietyl-

ko nie spostrzegła że się wystroiła tak, iż już żadnej piękniej nad nią przyodzianej nie było, ale nawet nie wiedziała na pewno czy w kościele były inne dziewczęta. Gdyby jéj kto zapytał o to, toby mu odpowiedziała zapewne:

— No, jušci.... każdej niedzieli są, to i dzisiaj musiały być.

Ale gdyby jej zapytano kto miał gunię krótszą od innych mieszkańców wioski, jakim kolorem sukna ta gunia była obszytą, na czyim kapeluszu był sznurek najbielszych i najpiękniejszych muszelek, kto miał pas czerwony najszerszy i najzłocistszemi sprzączkami i guzikami nabity, czyja spinka świeciła się jak złoto i miała przy sobie najwięcej łańcuszków—toby pewno odpowiedziała:

— No, jušci tego obcego górala, co tu do nas przyszedł od wczora.

Antek i dziewczyna nie rozmawiali dotąd z sobą, czy jednak sobie nic nie powiedzieli oczyma i czy się nie zrozumieli lepiej jak nieraz ludzie co się nagadają przez godzinę—to zupełnie inne pytanie. Antek i poprzedniego wieczora przed karczmą i teraz przed kościołem i po kościele, chciał do niej zagadać, ale tak mu jakoś było nieswojo, tak niewiedział od czego zacząć, że aż się sam dziwił sobie.

— Ot i ogłupiałem już chyba —mówił do siebie,—dawniej jak mi się spodobała dziewczyna, tom ją łapał za szyję, całował, i mówiłem: „jakaś ty ładna!” a dziewczyna kraśniała i spuszczała oczy i dąsała się niby, a była rada. A teraz do tej słówka przemówić nie śmiałem. Ba... ale ona nie taka jak inne... i kraśnieje i spuszcza oczy, chociaż do niej słówka nie rzekłem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Listy z podróży na wystawę paryzką.

XII.

Paryż, *2 Października 1867 r.*

Dziś rano, wcale niespodziewanie odebrałem wizytę pana Pawła.

— Możesz mieć czas dzisiaj, panie Józefie—rzekł do mnie wchodząc.

— Jak panu wiadomo, dostało mi się takie miejsce—odpowiedziałem, że ze względu na to, iż jestem cudzoziemcem i bawię tutaj dla nauki, wolno mi nie przychodzić do roboty ile razy mogę czem innem pożytecznie czas zająć. Rzadko korzystam z tej wolności, bo tu w Paryzu życie strasznie drogie, więc zarabiać potrzeba koniecznie temu kto jak ja ma tylko ręce do życia, zawsze jednak jeżeli jest coś ciekawego i nauczającego do zobaczenia...

— O jest! —przerwał pan Paweł z uśmiechem.

— Cóż takiego? —zapytałem ciekawie

— Ni mniej, ni więcej jak... wystawa cnoty.

— Żartujesz pan—odrzekłem, galerji cnoty nie ma na wystawie.

— O! masz słuszność, panie Józefie—odpowiedział, wystawa ma rozmaite galerje, którym dla odróżnienia jednej od drugiej podawano różne nazwiska, chociaż wszystkie razem stanowią tylko jedną wielką galerję spekulacji na kieszenie zwiedzających....

—Daj pan pokój—przerwałem panu Pawłowi, ja twierdzę, że wystawa ma swoją korzyść, pan zaś upatrujesz same słabe i śmieszne strony, od których żadne przedsiewzięcie ludzkie nie jest wolnem. Zostańmy każdy przy swojem zdaniu i chodźmy na wystawę cnoty, jeżeli...

—A!—zawołał pan Paweł, jest więc jakieś jeżeli.

Bez żadnej ukrytej myśli odpowiedziałem:

— Jeżeli *entrée* nie jest zbyt drogiem.

Trzeba było dopiero widzieć pana Pawła jakim wybuchnął śmiechem. Śmiał się do rozpuku; to mało, śmiał się *à gorge déployée* to jest *rozwiniętem gardłem,* jak mówią Francuzi i jak oni tylko śmiać się potrafią.

Na żaden sposób nie mogłem pojąć co w mojej odpowiedzi mogło być tyle śmiesznego, lecz śmiech pana Pawła tak mi się wydał komicznym czy też tak był zaraźliwym, że i ja mimowolnie zacząłem się śmiać.

— Doskonały jesteś, panie Józefie, — unosił się pan Paweł, wyborny, nieoceniony!... pomysł twój warto do dzienników podać.

— Jaki pomysł?—zmiłuj się panie Pawle.

— Żeby wystawić za opłatą *entrée* do obejrzenia tych



Kościół w Lędzie. (Rysował Ko[illegible]rski, wyciął na drzewie Sznage).

wszystkich, którym przyznaną została nagroda Monthyona... Wyborna byłaby spekulacja.

— A! — zawołałem — więc to dzisiaj rozdają nagrody cnoty.

— Dzisiaj na posiedzeniu publicznem akademji francuzkiej. Nie myśl jednak, panie Józefie, żeby laureaci mieli być na tej uroczystości obecni tak jak wystawcy, którzy otrzymali nagrody—bynajmniej. Będzie tylko odczytany raport o ich zasługach. Myśl wystawienia ich na widok publiczny za biletami, należy wyłącznie do ciebie, panie Józefie.

Przykro mi się zrobiło, że tak pan Paweł pochwycił moje słówko i wyprowadził z niego wnioski, których bynajmniej nie miałem na myśli, a przykrzej jeszcze gdy w dalszym ciągu rozmowy zaczął żartować z samych nagród tego rodzaju, nazywając je zaliczką na rachunek królestwa Niebieskiego i innemi podobnemi żarcikami szykanując myśl wzniosłą, którą prawdziwa miłość ludzkości natchnęła i która pożyteczne, zbawienne, wydaje dotąd owoce. Słuchałem jednak jakiś czas cierpliwie, nie chcąc się wdawać w szermierkę z dowcipem pana Pawła i dopiero gdy mnie zapytał, czy zgadzam się na to wszystko co przeciw nagrodom cnoty powiedział, odrzekłem.

— Nie zgadzam się bynajmniej, panie Pawle. Nietylko sądzę, że nagrody cnoty są pożyteczne, lecz nawet obstaje przy moim pomyśle...

— Przy tem, żeby na uroczystość rozdania tych nagród wpuszczano za biletami?....

— Tak, panie Pawle, chciałbym nawet, żeby cena była bardzo wysoką.

— A to już ciekawym dla czego?...

— Bo wtenczasz ludzie, którzy na ten obchód wybierają się tylko po to, żeby sobie żartować z tych, którym społeczeństwo przyznaje palmę najzaszczytniejszą—bo cichej zasługi, stanąć by musieli przed kassą, sięgnąć do woreczka i namyślić się czy to nie lepiej samemu być cnotliwym i otrzymać za to nagrodę, niż na żartowanie z cnotliwych tracić swój dowcip i pieniądze. Wtedy —dodałem, żałując później żem zakończył osobistym przycinkiem, — wtedy i ty panie Pawle rozmyśliłbyś się zapewne, że w komedji cnoty, jak ją nazwałeś nie z przekonania ale dla dowcipu, lepiej jest być autorem niż widzem, a gdybyś doszedł do tego przekonania, za lat kilkanaście przyznanoby może także nagrodę i tobie.

Pan Paweł przygryzł wargi i niedowcipkował więcej. Nie sądzę, żeby się na mnie obraził, raz dla tego: że jest w gruncie dobrym człowiekiem, tylko język ma zbyt ostry—a powtóre dla tego, że lubi kiedy mu się odciąć i chętnie takie ucinki przebacza. Spostrzegł się tylko, że do żartów są zupełnie inne przedmioty a nie te, o jakich na posiedzeniu Akademji francuzkiej słyszeć mieliśmy sprawozdanie.

Poszliśmy tedy. Publiczność była bardzo liczna, znać że Francuzi w ogóle biorąc, nie mają tak lekkiej opinji o nagrodach Monthyona jak pan Paweł. Członek Akademji p. Falloux odczytał sprawozdanie, które obecnych wzruszyło prawdziwie. Bóg tylko na innym świecie przyznawać może rzeczywiste i ostateczne nagrody cnoty, to prawda, lecz i ludzie mają prawo niektórych z pomiędzy siebie, którzy się wyróżnią poświęceniem dla bliźnich wymienić, podnosić i nie zapłacić im za cnotę, jak chce pan Paweł, lecz ich jako wzór do naśladowania dla innych postawić.

Słuchałem bardzo uważnie i natychmiast po posiedzeniu powróciwszy do domu, spisałem komu i za co przyznano pierwsze nagrody. Sądzę, iż czytelnicy moi nie wezmą mi za złe, że przerywając na ten raz moje sprawozdania z wystawy, przeszlę im kilka pięknych obrazków miłości chrześcijańskiej dowodzących, że na tej ziemi, na której kwitnie postęp i przemysł, chata ma także godnych naśladowania reprezentantów.

Pierwszą nagrodę (2,500 fr.) przyznano Agacie Mahais, trudniącej się handlem owoców w Angers, głównem mieście departamentu Maine et Loire. Życie jej całe jest jednym ciągiem zapomnienia o sobie i poświęcenia dla bliźnich. Zostawszy sierotą w 10 roku życia, zajęła się dzieckiem będąc jeszcze losem swoich sióstr młodszych, które w niej miały drugą matkę. W dwudziestym ósmym roku życia, walcząc sama z biedą, przyjęła za swoje *pięcioro* drobnych dzieci swojego zmarłego brata, wychowała je i otaczała staraniami aż do czasu, w ktorem same na siebie zapracować mogły. Przymioty jej zna-

lazły uznanie: nastręczały jej się partje korzystne, postanowiła przecież w stanie panieńskim przepędzić życie, oddając się zupełnie miłosiernym uczynkom. Odtąd ciągle aż do starości, jest bowiem teraz staruszką, w mieszkaniu swojem przyjmuje, żywi i odziewa starców, kaleki, dzieci, dziewczęta, które chce wyrwać zepsuciu, do jakiego większe miasto (Angers liczy przeszło 50 tysięcy ludności) tak łatwe nastręcza pole. Przez całe życie swoje nie wiedziała co to oszczędność. Gdy jej powiedziano, że Akademja przyznała jej nagrodę, rzekła z uśmiechem:

— Oto summa, jakiej nigdy w życiu nie miałam!.... dzięki Bogu! nie jeden się ucieszy z tych pieniędzy...

Mógłby kto sądzić, że za otrzymaną sumkę zechce sobie zapewnić jakąś wygodę na starość. Ten jej mimowolny wykrzyknik dowiódł, że pierwszą i jedyną jej myślą byli nieszczęśliwi, że ze wszystkiej nędzy ktorą miała przed oczyma, o jednej tylko nie pamiętała, — o swojej.

Dwie nagrody po 2000 fran. przyznane zostały Leonji Silié i Klotyldzie Bocquillon.

Leonja Silié jest nauczycielką wiejską w gminie Fléchin, w departamencie Pas-de-Calais. Pierwsze zasługi położyła, będąc wzorową w swym zawodzie; wkrótce spostrzeżono, że w tajemnicy dzieliła się z powierzonemi sobie biednemi dziećmi skromnym swoim dochodem i stołem. Wychodzące ze szkoły dziewczęta przywiązywały się do niej jak do matki. Urządziła dla nich niedzielne zebrania, na których rozrywka łączyła się z nauką, a składka dla chorych była uwieńczeniem zabawy. W listopadzie 1859 r. wybuchł pożar w sąsiednim domu, Leonja przyjęła do siebie całą rodzinę pogorzelców dając jej przytułek i wygody przez całą zimę, jednego zaś z członków tej rodziny pielęgnując z macierzyńską miłością, przez czas trzech miesięcznej choroby. Z całej gminy w której mieszkała, ona tylko jedna zapomniała o tem, że ta właśnie rodzina była jej wytrwale nieprzychylną, i dokładała wszelkich starań ażeby jej nie dano skromnego miejsca nauczycielki. Powoli Leonja Silié stała się pomocnicą lekarza przy chorych, proboszcza przy biednych i potrzebujących duchowej pociechy. Współmieszkańcy świadczą jednomyślnie, że najśpieszniej zawsze udawała się gdy jej obecność była potrzebną do tych, których gmina nazywała jej nieprzyjaciołmi, a którzy byli tylko jej dobrego imienia zazdrośni. W r. 1865 gmina nawiedzoną została strasznemi klęskami: najprzód tyfus połączony z epidemiczną chorobą gardła, później cholera wybuchła i dosięgła przerażających rozmiarów; sześćdziesięciu chorych leżało i potrzebowało pomocy, piętnastu pochowano w krótkim czasie; na wieś liczącą 700 mieszkańców cyfry te znaczyły tyle ile w Warszawie naprzykład znaczyłoby 18,000 chorych i 4,500 umarłych. Dzieląc się między chorych i szkołę, Leonja Siliè zapisała swoje niestrudzone usiłowania we wdzięcznej pamięci wszystkich mieszkańców zdziesiątkowanej gminy. Z narażeniem własnem, nie myśląc o spoczynku, walczyła ze straszną plagą i niosła wszędzie pomoc i pociechę.

Nagroda udzielona Klotyldzie Bocquillon jest tym zaszczytniejszą, że jest wyjątkiem. Akademja ma za prawidło nie wynagradzać czynów poświęcenia dokonanych w obrębie rodziny—czynów do których oprócz obowiązków ludzkości, jeszcze związki krwi nakłaniają. Względem Klotyldy Bocquillon jednakże trzeba było odstąpić od zasady. Przepis z góry postanowiony nie mógł powstrzymać od hołdu złożonego takim zasługom. Klotylda Bocquillon miała lat 16, gdy w skutek choroby rodziców cała jej biedna rodzina ją tylko mieć już mogła za jedyną podporę. Rodzice starzy, kalecy, sparaliżowani, brat starszy epileptyk, siostry dotknięte najstraszliwszą chorobą idjotyzmem, pomięszaniem zmysłów dochoczącem do wściekłości, w której rzucają się na rodziców i na swą chlebodawczynię, —wszystko to razem żyć musiało i musi z jej usiłowań i z jej pracy. Nie cofnęła się przed ogromem tego ciężaru, nie zraziła się tem, że pracuje dla istot które nie są i może nigdy nie będą zdolne ocenić wielkości jej poświęcenia, i dla całej tej rodziny stała się więcej niż siostrą, więcej niż córką: stała się matką i karmicielką.

Trzy nagrody po 1000 fr. otrzymały Rozalja Foissac, Aglaé Delon i Marja Duchesne. Pierwsza z nich jest córką kapelusznika w Saint Affrique (miasteczku okręgowem liczącem 7,000 mieszkańców, w departamencie Aveyron w Południowej Francji), i dała dowód prawdziwie wzruszającego poświęcenia; druga mieszka w Nemours (w bliskości Paryża) i od 20 lat zajmuje się wyszukiwaniem dzieci sierot lub opuszczonych, którym daje mieszkanie, życie i naukę, dopóki na chleb zapracować nie mogą; trzecia jest nauczycielką wiejską w departamencie niższej Loary, rodem Bretonka. Miała ona lat 28, gdy proboszcz miejscowy rzekł do niej:

— Jestem stary, wystarczam zaledwie moim obowiązkom kapłańskim, dzieci mojej parafji wzrastają w nieświadomości, budżet nasz zbyt mały na zakładanie szkólki; poświęć się ich nauczaniu.

Marja Duchesne umiała zaledwie czytać, o pisaniu nie miała wyobrażenia, o arytmetyce nie słyszała, musiała się więc nauczyć sama tego czego miała nauczać. Nie wstrzymało ją to jednakże; życzenie proboszcza zdawało jej się, wolą Opatrzności. Zabrała się do pracy i po dwóch niespełna latach usiłowań niezmordowanych, we Wrześniu 1844 r. stanęła do egzaminu i dostała patent nauczycielki. Zasłużyła później na dwa medale za postępy swojej szkoły, która dziś jest jedną z najlepszych w departamencie. Niedosyć na tem. Najbiedniejsi uczniowie stali się jej przybranemi dziećmi, starcy, kaleki najlepszemi przyjaciołmi, a dzieła miłosierdzia są jej jedyną od obowiązków nauczycielskich rekreacją.

Tysiąc franków, zwanych od imienia zapisodawcy nagrodą Sourian przyznano Anastazji Gaudin, która będąc jedyną służącą pewnej rodziny, nie opuściła jej nigdy, chociaż jej państwo wpadali w najprzykrzejszy niedostatek i najczulszemi staraniami potrafiła osłodzić ostatnie chwile swojego pana, którego w tajemnicy utrzymywała z owoców swej pracy.

Chciałbym jeszcze wspomnieć cokolwiek o tych, którym przyznano nagrody pięciuset frankowe, ale arkusz się kończy, świeca dogorywa.... darujcie państwo, że pójdę na spoczynek, bo jutro rano muszę iść do pracy.

Józef Niepowie.

POGADANKI EKONOMICZNE.

I.

Idąc za szlachetnym przykładem pisarzy i proffessorów angielskich, którzy popularnym wykładem starają się najmniej oświecone klassy narodu zapoznawać z wielkiemi prawdami społecznych i moralnych nauk, powzięliśmy zamiar, za pomocą tego samego środka, to jest popularnego wykładu, uczynić dostępnem, dla czytelników „Opiekuna Domowego” poznanie prawd ekonomicznych, czyli mówiąc innemi słowy, położyliśmy sobie za cel, o ile być może dokładne a zarazem treściwe przedstawienie im, prawd głoszonych przez *Ekonomiją polityczną*, czyli *naukę gospodarstwa społecznego*.

Co to jest ta nauka gospodarstwa społecznego? zapyta nie jeden z czytelników „Opiekuna Domowego.” Czem się ona zajmuje? co jest przedmiotem jej wykładu? jakie ma cele i co dla człowieka przynosi? Na te słuszne ze wszech miar zapytania, a które się same najprzód każdemu w umy-

śle przedstawić muszą, damy stosowną we właściwem miejscu odpowiedź.

Dla zachowania zaś pewnego porządku w wykładzie, zaczniemy po pierwsze: od objaśnienia czytelników naszych, czem jest właściwie tak nazwana nauka gospodarstwa społecznego, bo to jest koniecznem; powtóre, wykażemy niezbędną potrzebę uczenia się tej nauki w kraju naszym, który potrzebuje jej więcej, niż którykolwiek bądź inny; nakoniec podamy krótki rys historycznego rozwoju tej nauki, nadmieniając o głównych jej twórcach, a dopiero potem zajmiemy się wykładem prawd i zasad, treść i podstawę samej nauki gospodarstwa społecznego stanowiących.

Według najpierwszych pisarzy traktujących o tym przedmiocie, Ekonomija polityczna nazywaną także ekonomiją społeczną, lub gospodarstwem społecznem, jest *nauką tworzenia, podziału* i *zużycia bogactw*. Taką jest powszechnie przyjęta definicja ekonomji politycznej. Lecz z góry oświadczamy naszym czytelnikom, iż powyższe określenie nauki gospodarstwa społecznego, nie daje o niej dokładnego wyobrażenia i zakreśla tej szlachetnej nauce za szczupłe granice, albowiem w rzeczywistości obejmuje ona wszystkie objawy i czynniki społeczno-moralnego a zarazem i materjalnego życia narodów.

Wprawdzie ekonomija polityczna, przeważnie zajmuje się tworzeniem (produkcją) bogactw i wartości materjalnych, lecz bynajmniej, nie jest to jej głównem zadaniem. Za dużo ma ona moralnych potrzeb ludzkości na względzie, jak to wykażemy w dalszym ciągu niniejszej pracy, aby się wyłącznie bogactwem materjalnem zajmować miała.

Nie mniej los klass roboczych, ich dobrobyt, ich potrzeby moralne, nie tylko że nie są obojętne dla nauki gospodarstwa społecznego, lecz stanowią jedno z najważniejszych jej zadań. Podaje ona zaradcze środki przeciwko złemu, a wskazuje najlepsze drogi do osiągnięcia dobrego, nie tylko rozumie się w klassach roboczych, lecz i w innych warstwach narodu. Nie poświęca ona jednej klassy dla drugiej, przeciwnie żąda we wszystkich klasach narodu harmonji i jedności, spojności i zgody, gdyż wie, że tylko wspólna łączność wszystkich czynników narodowej pracy, może dać ten dobrobyt moralny i materjalny, ten mniej więcej odpowiedni podział bogactw, czyli ten stan ogólnego zadowolenia, do którego dążą i zawsze dążyć będą tak rządy jak i ludy ucywilizowane.

Oto jest cel Ekonomji politycznej.

Jeśli więc naukę tę określać chcemy dokładnie odpowiednio do jej istoty, to nie nazwiemy ją nauką *tworzenia* (produkowania) *podziału* i *zużycia bogactw* a damy jej nazwę: *nauki podającej prawdziwe zasady dobrobytu moralnego* i *materjalnego narodów*. I to, dopiero będzie właściwe określenie (definicja) nauki gospodarstwa społecznego.

Nim jednak wykażemy czytelnikom naszym konieczność uczenia się, czyli obznajomienia się z tą nauką, winniśmy ich objaśnić, co rozumiemy pod wyrażeniem ,,dobrobyt moralny narodu" które to wyrażenie może się wydać dla niejednego z czytelników ,,Opiekuna" nie jasnem, a nawet zupełnie niezrozumiałem.

Każdy naród, czyli społeczeństwo chrześcijańskie, ma za główny cel swego przeznaczenia *doskonalenie się*. Doskonalenie to powinno być wrażanem w najszerszem znaczeniu i dopełniać we wszystkich gałęziach wiedzy, (sztuk i nauk), we wszystkich objawach życia społecznego i rodzinnego, we wszystkich rozgałęzieniach życia materjalnego, bogactwa, przemysłu, wynalazków, rolnictwa, handlu, jednem słowem we wszystkiem z czem tylko umysł i serce człowieka doskonalić się i w czem człowiek byt swój na ziemi ulżyć i polepszyć może.

Społeczeństwo chrześcijańskie spełniając tę wyraźną wolę Opatrzności, wszelkiemi możebnemi drogami, zdążą do tego wielkiego celu: udoskonalenia i podniesienia się. A ta dążność, ku nieustannemu postępowi jest tak wrodzoną każdemu zdrowemu społeczeństwu, iż pomimo przeszkód i zawad, jakie się na drodze postępu zawsze napotykają, siła ta zbliżania się ku udoskonaleniu, wlana że tak powiem przez naturę w organizm i ducha człowieka, posiada w sobie tyle potęgi, iż wszystkie zapory stojące na przeszkodzie rozwojowi moralnemu i materjalnemu społeczeństwa, obala i niszczy.

Jak dla pojedyńczego człowieka ważniejszą rzeczą jest, aby miał oświatę i dobre zasady, niż pieniądze i duże zyski, tak i dla całego społeczeństwa ważniejszem jest zdrowy owoc cywilizacji, to jest dobrobyt moralny, niż pożywne na pozór, a zgubne nieraz, owoce materjalnego bogactwa; jak człowiek oświecony stawia sobie za główny cel swego życia, coraz wyższe doskonalenie się duchowe, chociaż i o doczesnych—ziemskich potrzebach nie zapomina i stara się im uczynić zadość, tak i społeczeństwo oświecone, chrześcijańskie, w czasie swej ciężkiej na ziemi wędrówki, dobijając się o zaspokojenie tegoczesnych, materjalnych swych potrzeb, o swem wzniosłem przeznaczeniu, to jest o osiągnięciu dobrobytu moralnego, czyli osiągnięciu jak najwięcej światła i cnoty zapominać nie powinno.

Człowiek nie składa się tylko z ducha i nie składa się tylko z ciała, duch i ciało połączone razem, tworzą dopiero człowieka, jest on więc duchowo-cielesną istotą, która, aby się w zupełnie właściwych dla siebie warunkach rozwijać mogła, potrzebuje zarówno duchowego cielesnego (materjalnego, fizycznego) pokarmu. A jak z pojedyńczym człowiekiem, tak się ma z całą ludzkością, potrzeba jej karmy dla ducha i potrzeba jej karmy dla ciała. Karm' dla ducha, to: Religja, Nauki i Sztuki, karm' dla ciała, to: Rolnictwo, przemysł, handel. Pierwsze przewodniczy drugiemu, kieruje i prowadzi go, a czem ludzkość ma więcej cywilizacji, to jest karmy ducha, tem karm ciała więcej wzrasta, rozwija się i pomnaża.

Dobrobyt ducha, tworzy dobrobyt ciała. A zatem, dobrobyt moralny jest podstawą wszystkiego, od niego bowiem zawisł rozwój i postęp społeczeństwa.

Teraz sądzimy iż czytelnicy nasi pojmą dla czego mieliśmy sobie za obowiązek wytłumaczyć im, co rozumiemy pod wyrażeniem: ,,dobrobyt moralny." Przyjdzie nam jeszcze nieraz w dalszym ciągu, odwołać się do tego określenia dobrobytu moralnego, gdyż wiele nam na tem zależy, aby czytelnicy nasi nabrali tego przekonania: iż w całym ciągu wykładu nauki gospodarstwa społecznego, chociaż nader często przyjdzie nam mówić o bogactwie materjalnem, o dobrobycie materjalnym, to przewodniczącą zawsze myślą naszą, w obecnym wykładzie praw ekonomicznych, będzie myśl o bogatwie moralnem, umysłowem i duchowem społeczeństwu, a to dla tego, że tylko człowiek bogaty umysłem i sercem, może *uczciwie* posiąść bogactwo materjalne, do którego tak zapalczywie, jedni przez drugich, zdążamy napróżno nieraz niestety! bo parci nieprzyzwyciężoną żądzą zbogacenia się, zapominamy, iż człowiek ubogi duchem, i materjalnie ubogim zawsze musi pozostać.

Że nauka gospodarstwa społecznego (ekonomija polityczna) a przedewszystkiem znajomość głównych jej zasad i praw, każdemu, bez względu na stan i położenie jakie zajmuje w społeczeństwie może być i jest rzeczywiście bardzo przydatnem i pożytecznem, jest to kwestja dawno już rozbita w innych krajach, jak naprzykład w Anglji i Francji, gdzie uznano za konieczne wykładanie tej nauki, po niższych zakładach naukowych i przez dostępnie pisane tak nazwane *podręczniki* (manuels), rozpowszechnienie jej pomiędzy najniższe klassy narodu, to jest między robotników i lud prosty. W tym względzie jednak pier-

szeństwo trzyma Anglja, tam po większych miastach urządzają często popularne wykłady gospodarstwa społecznego wyłącznie dla rzemieślników, robotników, czeladników, i t. d. Tym sposobem zasady tej tak pożytecznej nauki zaszczepione w umysły klass ludowych, wydają bezzwłocznie najlepsze następstwa, gdyż czynią te klassy i pracowitszemi, i oszczędniejszemi, i spokojniejszemi, jednem słowem czynią je i lepszemi i szczęśliwszemi.

Na tem kończymy pierwszą naszą pogadankę ekonomiczną, w drugiej zajmiemy się skreśleniem krótkiego rysu dziejów nowej nauki.

Konstanty Wzdulski.

ROZMAITOŚCI.

— **Procent.** Wynagrodzenie jakie wierzyciel odbiera za wypożyczenie pewnej summy pieniędzy zwanej kapitałem, nazywa się *procentem, odsetkiem.* Zwyczaj wypożyczania pieniędzy na procenta, najodleglejszych sięga czasów. Już stary Testament pozwala wypożyczać na procenta, ale tylko *cudzoziemcom.* Pomiędzy jednowiercami zaś wszelka lichwa t. j. wypożyczanie na procenta, najsurowiej wzbronioną była, a lichwiarstwo poczytywane na równi z bałwochwalstwem. Lecz i na tem jeszcze nie zatrzymało się prawo Mojżesza: co każde siedm lat w święto kuczek, ogłaszano umorzenie długów. W handlowej Grecji, pożyczki procentowe prawie jednocześnie z przemysłem się rozwinęły. Zwykły procent był tu 12 od sta, ale w pewnych razach wzrastał on do 36, a nawet 48. W ogóle Solon sprzyjał dobrowolnym umowom pomiędzy dłużnikami i wierzycielami, gdy przeciwnie prawodawca Spartański Likurg, niejednokrotnie umarzał długi i potępiał procenta. Dwaj znakomici greccy pisarze Arystoteles i Plutarch, stanowczo oświadczali się przeciw pożyczkom na procenta. Pierwiastkowe prawa rzymskie niezmiernie surowe względem dłużników, mienie i życie nawet tych ostatnich czyniły w razie niewypłatności zależnemi od woli wierzycieli. Ztąd częste rozruchy i zamieszki za czasów rzeczypospolitej, ztąd wiekusta nieprzyjaźń patrycjuszów z plebeuszami, z których ostatni byli wierzycielami pierwszych. Procenta zrazu wynosiły 10 od sta, potem połowę tego, wreszcie dla licznych nadużyć, stopa ich zupełnie nieograniczoną została. W początkach cesarstwa wynosił on 12 od sta, ale uważał się już za nadużycie—był lichwą. Katon starszy i Seneka byli nieubłaganymi nieprzyjaciołmi pożyczki na procent, gdy Cyceron zdawał się jej sprzyjać. Za czasów Justynjana procent w ten sposób urządzony został: klasa najwyższa mogła tylko wypożyczać pieniądze na 4-ty procent, inni zaś na 6%, a tylko kupcy mogli żądać 8 na sto. W początkowych wiekach chrześcijaństwa, ewangeliści i ojcowie kościoła surowo lichwę potępiali. Papież Leon święty zabrania pożyczać na procent, a lichwiarstwo otrzymuje nazwę: „plagi ludów." W wielu atoli krajach pomimo tych zakazów, pomimo klątw papiezkich, pożyczano na ogromny procent. W XI-ym np. wieku prawa pozwalały na 12, 16, 55 a nawet 66 procent! Statuty Berengara hrabiego Prowancji (r. 1244) tym tylko karą groziły, którzy brali 80 procent rocznie. Żydom zaś podług tegoż statutu, wolno było pożyczać na 25 pr. W ogóle w wiekach średnich wszelkie pożyczki na wielkie narażone były straty i niebezpieczeństwa, ztąd też wierzyciele byli zmuszeni wypożyczać na wielkie procenta.

Gdy z czasem powstały kassy pożyczkowe czyli tak zwane *monts de piété*, procenta znacznie spadły, tak że nie przewyższały 12 lub 13 od sta. — W XVI wieku tu i owdzie odzywają się pojedyńcze głosy przeciw ograniczeniom prawa co do stopy procentowej; ale dopiero najnowszym ekonomistom należy się sława za dokładne wyświetlenie tej ważnej kwestji. Jeszcze sławny angielski ekonomista Adam Smith był za ograniczeniem stopy procentowej, gdy przeciwnie wszyscy późniejsi ekonomiści, stają w obronie swobodnego naznaczania procentów. Obecnie jakkolwiek we Francji legalny procent jest 5 lub 6 od sta, bank wszakże francuzki jeszcze w r. 1857 brał 9%. W Niderlandach zupełna pod tym względem zostawiona swoboda. To samo i w niektórych północno-amerykańskich stanach. Anglja do 1854 r. nie pozwalała brać wyższego nad 5 procentu, w tym atoli roku wszelkie ograniczenia zniesiono. Belgja dotąd jeszcze nie uczyniła stanowczego kroku. Wreszcie prawo ograniczające stopę procentu zostało zniesione: w Hiszpanji 1856 r., w Genewie 1857 r. w Sardynji tegoż roku duch czasu odbił się i w Rzymie, jak to widzim z bulli 1830 r. zabraniającej niepokojenia wierzycieli.— U nas w Królestwie stopa procentu ustanowiona została prawem z d. 16 Grudnia 1811 roku na 5 proc. w interesach cywilnych, a na 6% w handlowych.

— **Moda.** Czytamy w liście z Paryża do angielskiego dziennika *Morning Post:*

„Starałem się dowiedzieć, jakim będzie w tym roku kolor modny włosów i brwi damskich. Fryzjery paryzcy mieli zgromadzenie, na którem postanowionem zostało, że damy noszące włosy blond złotawego odcienia, nosić będą brwi czarne, brwi zaś złotawoblond towarzyszyć będą włosom czarnym. Włosy ciemne, szatynowe, zostaną zupełnie wykluczone z modnego świata, gdyż kolor ich nie jest dość wyrazisty. Nie zdecydowano się jeszcze czy szyniony (koki) zostaną utrzymane, zdaje się jednak że będą odrzucone, jeżeli się da wynaleść jaki strój więcej skomplikowany i droższy. Cera będzie biała perłowo-matowego odcienia, wargi blado-różowe, usta zaś damy trzymać będą lekko otwarte."

Gdyby nie nagłówek tego listu, świadczący wyraźnie, że wiadomości te pochodzą wprost ze stolicy cywilizacji, jaki dobro-duszny czytelnik nie mający wyobrażenia jak daleko sięgać mogą przepisy mody, miałby pewno ochotę pomyśleć, że korrespondent pisze z okolic Przylądka Dobrej Nadziei lub z nad brzegów cieśniny Magiellańskiej!

— **Przywłaszczanie znalezionych rzeczy.** Czytamy w piśmie paryskiem *Journal des Debats* następujący artykuł:

„Wiele osób zdaje się nie wiedzieć, że czyn przywłaszczania sobie przedmiotów znalezionych na drodze publicznej, jest równym kradzieży, i podpada tej samej karze. Że tak jest, jednakże mieliśmy tego niedawno nowy dowód.

„Pewien młody człowiek, nazwiskiem M..., pracujący w jednym z magazynów w dzielnicy Opery w Paryżu, robił od dwóch dni wydatki nieodpowiednie swoim dochodom. To zwróciło na niego uwagę i zawezwany został przez policją do wytłómaczenia się. Ambaras, w jakim się okazał przy odpowiedziach, powiększył jeszcze bardziej podejrzenie, tak że w końcu M... widział się w konieczności wyznać, że przed trzema dniami znalazł na ulicy summę 2500 franków (625 rs.) w banknotach, którą zatrzymał, aby ją obrócić na swą korzyść.

„Skutkiem tego zeznania został zamknięty w areszcie policyjnym przy ulicy Rossiniego do dyspozycji p. Bellangera, komissarza policji dzielnicy Opery, jako oskarżony o *kradzież.*"

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Redaktor, Adam Mieczyński.